Numer pojedynczy 2 kor.

XXII. Kraków, 1 listopada 1919 r. Nr. 21

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



Między paskarzami.

— Mom cały zbiór landszaftów, ale tylko malowane przez profesorów. Kupiłem sobie dywony, grób familijny z ciosowego kaminia. Gramofofon ze śpiewającym Karuzen. Automobil. Teraz myślę sobie kupić tytuł barona.

— E-e-e! To lepiej hrabiego.

— Nie, bo widzicie, jako przemysłowiec, mogę potrzebować kredytu.

Awanse policyjne.

Widać jakąś wyższą racyę
Ma w tem polityka:
Austryackie długi płaci
Polska Republika!

Że tam jakiś ochłap rzuci
W brzęczącej postaci —
No! Żywiła tą dziadówkę
To jeszcze dopłaci!

Ale Polska już stanowczo
Nie była w potrzebie,
By wdzięczności obowiązki
Za nią brać na siebie!

A, tu, jak donosi Prasa,
Że najwyższa Władza
Byłych zauszników Austryi
Awansem nagradza.

I tak, jakby było jeszcze
Za czasów Galicyi
Mianowała komisarzów
Radcami policyi!

Kto z protestem dziś wystąpi?
(Nie ma takich głupich!)
Chyba mury Talerhofu,
Widma z Monte-Lupich!!...

Wolny, czy...?

Przed posiedzeniem Rady miejskiej, aby sobie skrócić czas czekania, gdyż krakowscy ojcowie miasta nie grzeszą zbytnią punktualnością, jeden z panów radców spieszy ku drzwiom, na których zwykle znajdują się dwa zera.

Chwyta za klamkę — zamknięte.

— Przepraszam! — mówi, jako człowiek, znający się na formach towarzyskich — Myślałem, że wolny!

— Nie!... Tutaj Kosobucki!... — odzywa się głos z wnętrza.

Z rozmowy literackiej.

— Gadaj sobie co chcesz, ale ja Zapolską wyżej cenię. Przybyszewski jak zechce, to może się czasem pokazać, ale zato Zapolska jak wystawi swój kawałek, to zawsze jest na co patrzeć!

Z ukraińskiego kazania.

Ruscy — niech już będzie, skoro to teraz w modzie — ukraińscy popi odznaczają się nie tylko pięknym głosem, ale też płynną wymową, żywą gestykulacyą i obrazowością porównań i przykładów, którymi mają wpłynąć na serca swych owieczek.

Jeden z nich pouczając wiernych o godności, znaczeniu i obowiązkach stanu kapłańskiego, tak mówił:

— Ot, podywyt sia, moi miły parafiane, hen na bołonie, jak tam kobyła sia pase, a bąki jej furt do sr... zalatujut, a ona furt chwistom[1]) wymachaje, taj sia wodhaniaje. Znajete wy, szo to?... Bąki — to czorty, sr... — to wy, a chwist — to ja!...

Innym znów razem, wygłaszając mowę na pogrzebie dziedziczki, tak scharakteryzował nieboszczkę:

— Oj! Dobra to buła pani!... Wsim i wsiudy dawała!... Meni, djakowi, pid połotom, pid stodołoju... ale ne to, szo wy sobie dumajete — jałmużnu na cerkow Bożu dawała...

Chcąc zaś przedstawić, okropność śmierci, tak zakończył:

Smert je duże małeńka, ale duże straszna!... Znajete wy, szo to je tchir?... Tchir[2]) jak bzdne, to kury z bantiw spadajut... Tak i smert!...

[1]) *chwist* - ogon.
[2]) *tchir* - tchórz.

Z świadectwa szkolnego.

Stwierdzam, że syn mój, Aron, z powodu silnej niedyspozycyi żołądkowej, nie mógł dziś obrabiać Maryi Malczewskiego

Izaak Stinkfuss
ojciec.

Pochwała kontusza.

Nie ma szaty jak jest kontusz!
To należy wyznać prosto!
On się kłaniał, on się zwijał,
On się kurczył przed starostą!

On przed plebsem z wielką dumą
Prezentował barwy swoje,
A szedł zawsze z poświęceniem
Ścierać pańskie przedpokoje!

Kontusz jeździł w delegacyach
Aż do Wiednia — Mości panie!
On przyjmował swego czasu
Franz Josefa w Barbakanie!

Wszak kontuszem od pospólstwa
Odróżniają się szlachcice!
Kontusz jeszcze pokutuje
Nawet w polskiej Republice!

Na przyjęcie Piłsudskiego
Był w kontuszach orszak duży
I karmazyn Federowicz
I pan Gołąb, prezes stróży!

A Piłsudski się uśmiechnął
I zadumał się przez chwilę,
Że w tej polskiej Republice
Mamy jeszcze błaznów tyle!

Pytanie i odpowiedź.

— Dlaczego tak rzadko można widzieć lekarza na pogrzebie swego pacyenta?

— Bo wtedy przypomina szewca, odnoszącego gościowi parę zamówionych butów!...

Taki to już duch czasu.

(W kancelaryi wielkiego dygnitarza).

— Więc pan się stara o posadę?... A kto pana poleca i co pan ma zamiar dać za to?...

Pan radca na raucie.

(Zdarzenie prawdziwe).

Dzień 19 października 1919 roku zapisał się głęboko w pamięci Krakowian, nie z powodu tylu dziewiętnastek, ale dlatego, iż był datą przyjęcia oficyalnego Naczelnika Państwa.

Ponieważ zaś u nas w skład każdego programu przyjęcia musi wchodzić raut, bo to taniej kosztuje, niż urządzane dawniej w Starym Teatrze bankiety, więc i 19 października nie było inaczej. Pan radca był od samego rana w humorze najgorszym. Musiał opuścić łoże małżeńskie o godzinę wcześniej niż zwykle, a do tego wstał lewą nogą, co u niego stanowiło złą wróżbę na cały dzień.

Zaraz też pokłócił się z żoną i aby jej zrobić na złość, zupełnie naczczo poszedł do Barbakanu, gdzie ojcowie miasta dali sobie urzędowe *rendez vous*.

Zanim się dostał do wnętrza, tak go nażycie wyprasowano, że był nawet zadowolony, że wyszedł z domu o pustym żołądku. Kto bowiem wie, co mógłby mu się było przytrafić.

Ceremonia powitania odbyła się jak się należy. Naczelnik odjechał ku Rynkowi, za nim pociągnęła Rada, tak jak było powiedziane w programie, Floryańską na Rynek.

Ale program układało kilka osób, a jedna zdaje się w sekrecie przed drugą, u wylotu bowiem Rynku zatrzymał posuwających się oddział wojska. Tłumaczyli się, że są członkami Rady miejskiej i spieszą na Rynek, odpowiedziano, że wyszedł rozkaz, iż tędy nikogo puszczać nie wolno.

W ścisku brzuch pana radcy uległ jeszcze gruntowniejszemu sprasowaniu, zachodziła nawet obawa, że mógł być przebity ostrzem bagnetu.

Dzięki Bogu skończyło się tylko na strachu!

Ostatecznie udało się wspólnemi siłami przerwać front i pan radca, w pogiętym kapeluszu i z oberwanym rękawem znalazł się *szczęśliwie* na Rynku.

Ile się wycierpiał, Bóg jeden wie, najgorsze zaś, że się nie mógł wydalić poza kordon, bodaj na jedną wódeczkę do Michalika „celem wzmocnienia osłabionego ciała“.

— Po defiladzie! — poradzono i tak się stało.

Koło drugiej wrócił do domu w jeszcze gorszym humorze, niż wyszedł... Dzięki Bogu obiad był i smaczny i obfity, więc go to jakoś uspokoiło, wobec czego postanowił się wybrać i na raut, choć pierwotnie nie miał do tego wielkiej ochoty.

— Idź koteczku! — mówiła żona — Jakże wyglądałoby to, gdyby ciebie tam nie było!... Co powiedzieliby na to ludzie!... Jeszcze kto gotów może przypuszczać, że jesteś pod pantoflem i że ja ci pójść nie pozwoliłam.

Koło ósmej, po lekkiej przekąsce, wystrojony we frak, lak i klak, opuścił radca mury swej kamienicy, pożegnany przez połowicę słowami:

— A przynieś mi z tego rautu bodaj kilka ciastek!...

Spieszyć nie było się czego, choć początek naznaczony na ósmą. Spaźnianie się należy nawet do dobrego tonu.

Ale pan radca nie wiedział o tem, że komitet obliczył liczbę gości na dwa tysiące, a biletów wydał pięć tysięcy, gdyż każdy z panów komitetowych musiał w nie zaopatrzyć krewnych, przyjaciół, znajomych i pobożną publiczność.

Kandydatów zaś, o ile chodzi o jakąś darmochę, jest w Krakowie zawsze masa.

I to pana radcę zgubiło!

Obszedł Rynek, wstąpił jeszcze na bombkę, poczem z powagą, jak na ojca miasta przystało, kieruje się do Sukiennic.

Dochodzi, patrzy i oczom nie wierzy!... Od drzwi wiodących do Muzeum Narodowego ogon, ale to takich rozmiarów, że niech się schowa ogon Bujańskiego. W kąt „tytoniowy“ przed „rautowym“. Od Sukiennic, przez Rynek, dokoła św. Wojciecha ku pomnikowi Mickiewicza... A jego skład!... Same fraki, mundury i jedwabie.

Pan radca powiedział sobie: „O źle!“... ale nie dał za wygraną i skierował się wprost ku drzwiom.

— Rada miejska! — rzekł z powagą.

— Proszę do ogonka! — odpowiedział ktoś ze szpaleru utrzymującego porządek.

I cóż było robić?... Chcąc nie chcąc, trzeba się było pogodzić z losem i stanąć w ogonku, który tymczasem wydłużył się coraz bardziej.

O dziewiątej i pół był już pan radca koło kościoła św. Wojciecha, a o dziesiątej minut trzydzieści pięć znalazł się na wysokości ostatnich drzwi Noworolskiego, stąd zaś suwał się co pięć minut o jeden krok, tak, że mówiąc po krakowsku „biła go jedenasta“, gdy wchodził w bramę aby się dostać na schody.

Co się tutaj działo, tego żadne pióro nie określi. Dante widocznie nie był nigdy w Krakowie na raucie, byłby bowiem sceny, jakie się tu rozegrały, brał za temat do swojego „Piekła“.

Hałas, ścisk, do tego powietrze tak przesycone zapachem najróżnorodniejszych perfum, że poprostu niema czem oddychać.

A radca miał do tego brzuch wielki, oddech zakrótki i odciski!

Klął pod nosem, ale posuwał się ciągle naprzód. Co pięć minut ze ścisłością zegarka, jeden schód...

Jakaś dama mdleje... Krzyczą „wody“, ktoś mityguje, aby dać spokój, gdyż łatwo może powstać panika. Ktoś radzi, aby chorą wynieść na świeże powietrze. Gdy ona to usłyszała, (a była już bliską spełnienia swych pragnień...

Pan Kindermeth ma głos!

Niech si Pan na mnie nie gniewa, mój kochany Panie *Boczan*, że ja przez parę kilki mieszęcy nie bułem do Pana nic pisujący dass ich *für Sie kein Pisoar gemacht habe*, ale ja Panu muszę powiedzieć, że literatura to nie jest żaden interes *für unsere Leut...* Po drugie, to ja i czasu nie miałem, gdyż robiłem trochę w pasku, bo trzeba przecież myśłeć i o przyszłości, a z tego, co tam czasem kapnie człowiekowi z literature, to można zdychać z głodu jak z przeproszeniem stare fijakierskie kobyłe.

Ale teraz to ja mam trochę odpoczynek, bo moja starą potrzebowała wyjeżdżać do Krynicy i tam sobie kąpie za mnie i za siebie, a mój wspólnik od paskarskie interesy tyż jest nieobecny, bo pan prokurator prosił jemu siedzieć, ale całkiem niewinnie. Ja już w jego sprawie telegrafowałem do pana Eliasza Stuarta Samuelsa aby wziął w obronę obywatela od mniejszości narodowej i un obiecywał swoją interwencyę.

Ja zaś chciałem właśnie w sprawie tej mniejszości narodowej być głos zabierający, bo to jest bardzo nieładnie od wszystkie nasze gazetniki, że oni się gniwają na pana Paderewskiego, iż podpisywał tego traktatu.

Ciekawy jestem, dlaczegi nie miał podpisywacz, że sobi tego pan Wilson życzył, który, choć nie jest od naszy wiary, ale nas bardzo lubi, bo wie, że bez nas nieuda się żaden interes. Zresztą pan Wilson miał *mojre*, że żydkom jeżeli im będzie źle w Polsce, gotowi mu zjechać do Ameryki, a un powiada, że si tam bez nich obejdzie.

I o co to było robić taki gezejras?... Że my mamy świętować szabes?... Nu?... Co jest w tem złego?... Mają panowie swoją niedzielę, my mamy szabas. A najlepiej byłoby, gdyby Panowie swoją niedzielę przenosili na sobotę, to świętowalibyśmy razem, a w niedzielę robiliśmy wspólnie interesy.

Albo co w tem jest złego, aby nasze mowe stało si w Polsce urzędowym językiem?... Czy na tem kto straci?... Z tym językiem można przechodżycz cały świat. A z polskim jak daleko zajdzie?... Zresztą my, arystokracya, zaczynamy teraz mówić *esperanto*, bo to jest także nasza własność.

Gniewają si na nas, że my tak kochamy język niemiecki, że bez niego obchodżycz si nie możemy. Ale to jest język kulturowy! Cesarz Wilhelm to był wielki człowiek, a jak un mówił?... Może po polsku?... No!... A Bismark?

I zadlaczego ma tak mówić i Kindermeth, który jest człowiek europejski.

Zresztą ja mówię po polsku, niemieckiego używam tylko wtedy, gdy si spotkam z znajomymi, jeśli zaś mamy coś ważnego *zi besprechen*, to si już mówi po naszemu.

I zadlatego miała racyę pani Pa...., gdy mówiła: „Co gadacz z taką bidłą, co si na tem nie rozumi?!...

Una kubita i ma rozum w głowie, a uni gdzieindziej.

Powidzcie mi zresztą moi Państwo, co wy bez nas zrobicie? Handel i przemysł, to my, kapitał, to my, sztuka, to my!

Proszę popatrzeć w tyjatru, kto tam szedzi w loże i fotele?... My!... A potem w Esplanada albo u Drobnera?... My!... A na Kamiennej albo na trzeciego mostu?... Także my!

I co bedzi, jak nas nie bedzi?...

Tyle chczałem pisać w sprawie mniejszości narodowej, jako osobe zupełnie neutralne. Proszę si nad tem zastanowicz, bo potem może bicz zapóźno!... Skoro nas pan Stuart Samuels bedzie wywodzić z domu niewoli, my tu już nie bedziemy wrócić!

I ja nie bede wracać, ale ja si też i nie bede ruszacz bo to jest moje ziemia obiecane. Nidch sobie inni idą!... Nawet lepiej! Bedzi wtedy mnijsza konkurencya!...

Adje!... Hab die Ehre!... Sześć!

Fabryka papierosów.

Koń na darmo strawy nie je
Produktami słomy sieje,
O! poczciwy, dobry koniu!
Ty wiesz, że jest brak tytoniu!

Również stare materace
Dają do rąk ludziom pracę
Z tych pakułów, z tego włósia
Będzie tytoń — husia, siusia!

Już tytoniu leżą stosy,
Będą pyszne papierosy,
Idzie raźno praca zbożna
Przy niej jakoś wyżyć można!

— Co za tytoń?!... Zapytany
Odpowiada, że „sułtany“
Niech pan takich gdzie poszuka!
Dwie korony jedna sztuka!

Krzyczą andry w niebogłosy:
Bardzo dobre papierosy:
Lecz, gdy zoczą policaja
Rozbiega się cała zgraja

Mówi facet do swej damy:
„Wreszcie lepszy tytoń mamy!
Jest aromat w tym tytoniu!“...
Cóż ty na to dobry koniu?

Podczas oświadczyn.

— Czy jednak będziesz pan w stanie wyżywić żonę?... Teraz takie ciężkie czasy!

— Niech się z tego miejsca nie ruszę, panie radco, jeśli najdalej za rok nie będzie miała zatłuszczenia serca!...

W restauracyi.

— W zupie znalazłem włos, co mi się bardzo niepodoba.

— Niestety, moja kucharka nie ma ładniejszych.

Lak, koperta i sygnet.

Do koperty lak czuł wielce
Pożądliwy zapał
I z uczuciem po kropelce
W biały papier kapał.

Sygnet wyśmiał miłość szczerą:
„Pal się, niezłorzeczęć
Gdy przestaniesz, to dopiero
Ja przybiję pieczęć!“

Przytomność umysłu.

Na wesele pana Jana z panną Maryanną zaproszony był i kolega zawodowy pana Jana, pan Stefan.

Po uczcie weselnej, która wypadła wspaniale, gdyż pan Jan, sam dużo lubiąc jeść, dbał też o to, aby głównie nie brakło *ani papu, ani trutru*, rozpoczęły się tańce, w których pan Stefan, zapalony danser, wziął bardzo żywy udział, nie zważając na to, że dziś obówie takie drogie zwłaszcza z panną Franią wywijał bardzo energicznie, bo to była wybrana jego serca.

Pauza. Goście odpoczywają, pan Stefan rozgląda się za panną Franią, ale jej nie widzi, a tak chętnie porozmawiałby z nią... Ale trudno!... Skoro jej niema, postanowił skorzystać ze sposobności i udać się tam, dokąd czasem nawet i król i to piechotą chodzi. Było to zaś tembardziej wskazane, że właśnie miał nastąpić mazur, a pan Stefan chciał się popisać hołupcami, prysiudami i t. d., a do tego trzeba być lekkim!...

Gdy się znalazł w cichem ustroniu, gdzie się zapomina o kłopotach życiowych, podparł głowę na ręce i zaczął myśleć, naturalnie o Frani...

Nagle w sąsiednim przedziale posłyszał jakiś szmer.

— Ciekawy jestem, kto też tam być może?... — rzekł do siebie i zaczął się rozglądać za jaką szparą, która pozwoliłaby mu zbadać tajemnicę wnętrza.

Niestety, jak na złość, ani jednej!

Ale patrzy, działowa ścianka nie dochodzi do sufitu, można więc będzie zaspokoić swą ciekawość. Wspiął się więc na palce, jak mógł najwyżej (był niskiego wzrostu), a gdy oczy jego znalazły się w równej linii ze szczytem ścianki, widzi, ku swemu ździwieniu, ale i przerażeniu, z tamtej strony drugą taką samą parę oczu...

Serce powiedziało mu, że te oczka należą do panny Frani i nie zawiodło go.

Była to w samej rzeczy ona!... I ją, tak jak jego, zapędziły te okoliczności i ona też była ciekawa, kogo jej losy dały za sąsiada.

W jednej chwili rozległy się dwa głosy, męski i żeński:

— Ach!... Och!...

Pan Stefan nie stracił jednak zimnej krwi, którą się zawsze odznaczał i rzekł z galaoteryą:

— Panno Franiu!... Czy mogę panią prosić do mazura?...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski, Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.

Fabryka papierosów.

(Do wiersza na str. 7).

